LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

10)

Czarny chleb.

Przez to nie gadanie, to i roboty mogła tyle sprawić — bo robota babska to niby nic, ot jak te nitki w płótnie, zda się głupstwo — ale co tego naprząść trzeba — na jedną koszulę. Tylko, że mało takich — coby jej podołało — a najbardziej z ich gadania mitręga.

Gość zniknął za piecem — i po chwili ukazał się przebrany w to szare płótno od stóp do głowy. Tedy chłop zgarnął posłanie z szuwaru, i wyniósł z izby precz, i ukazał się znowu z wiązką świeżego siana. Rozesłał je na ławie, i spojrzał na gościa swego z dobrotliwym uśmiechem.

— Ot i przemienił się pan — a teraz na posłanie świeże ledz — i zasnąć. Jutro ja panu pokażę płytki zalew — gdzie wykąpać się dobrze, bo grunt piaszczysty to i całkiem pan pozdrowieje.

— Będę spać jak kamień — ale ty jutro znowu z depeszą popłyniesz i odpowiedź przywieziesz.

Po chwili w chacie zapanowała zupełna cisza. Iskierki dogasającego ognia biegały po popiele i zgasły — pod piecem monotonnie ćwierkały świerszcze. Chata stała wśród bezludzia, srebrna cała w miesiącu, jak zaczarowane siedlisko duchów z dziecinnych bajek.

Słońce przedpołudniowe, promienne, załechtało powieki śpiącego, że się zbudzić musiał. Leżał długo, nie wiedząc gdzie jest— na ziemi czy w jakiemś zaświeciu z baśni. W izbie gospodarzyło słońce, i rozprawiały ptaki. Zapatrzony w błękit za oknem, leżałby długo, chłonąc tę ciszę i barwę — ale go poderwał głód, — ten nieznany dotąd — zajmujący objaw życia pierwotnego.

Wstał tedy, i z kromką chleba w ręku, wyszedł przed chatę.

Jak okiem sięgnąć była bezmierność zieleni pod stopami — bezmierność błękitu nad głową — i wielmożne słońce w całym majestacie. Radowało mu się każde stworzenie: owady w powietrzu przejrzystem — ptaki po krzakach — źdźbło każde, kwiatem uwieńczone.

Stadko cyranek żerowało nietrwożne na rzece, sikory pod strzechą karmiły pisklęta, po brzozie smyrgała w uciesznych skokach ruda wiewiórka — w borze niedalekim kuł dzięcioł, gruchały grzywacze.

Jak wczoraj na ławie w chacie, tak teraz człowiek na trawach się wyciągnął, poddając się biernie słonecznym promieniom i powietrzu — i jadł czarny chleb.

Potem zapewne znowu zasnął — choć mu się to zdało chwilę — ale gdy znów podniósł powieki — słońce, mniej palące — stało nad lasem. Powstał — i poszedł za śladem udeptanej ścieżki w stronę czarnych olszyn nad rzekę. Znalazł zatokę — rodzaj jeziorka, o gładkiej czystej toni — i jasnem dnie.

Leżały tam jakieś dziwaczne kosze na ryby — siatki ręczne, odzież swą ujrzał upraną, i rozwieszoną na krzakach, a na jedynym dębie — szary ul z pnia — ukryty wśród gałęzi.

Z rozkoszą ciało swe, rozprażone słońcem, zanurzył w wodzie, i bawił się jak dziecko w kąpieli — obserwując roje malutkich rybek i niezdarne, czarne raki, pełzające po piasku. A wreszcie wziął siatkę i uchwycił dziesiątek raków — myśląc o wieczerzy, znowu głodny.

Gdy orzeźwiony kąpielą wrócił do chaty — ujrzał w oddali czółno Symona — i zdało mu się że chłop nie był sam. (d. c. n)

3) EUGENJA ŻMIJEWSKA.

...Takiemi patrzały, bo innych nie miały. Czyli dwa punkty widzenia.

(Dokończenie).

II

LIST PANI NARZYŃSKIEJ ZOFJI DO MĘŻA W WARSZAWIE.

Bratkowce 25 lipca 1912 roku.

Mój Kaziku jedyny!

Ciebie mi tylko tutaj braknie. I musisz przyjechać. Jacy oni poczciwi, że nas zaprosili! Oddawna marzyłam o prawdziwej polskiej wsi. A choć sobie wyobrażałam, że to musi być cudne, widzę, że jest jeszcze cudniejsze od tego, co widywałam w myśli pod wiosnę, chodząc z lekcji na lekcję. Zdawało mi się wtedy, że chodzę nie po trotuarach, ale po łące. Teraz chodzę po niej—naprawdę. I po lesie—prawdziwym. Nie ten rzadki sosnowy, jak pod miastem. Są i świerki i brzozy i moje ukochane dęby i zamiast opadłego igliwia z ogryzkami kości od kurcząt i z brudnymi papierami, śliczna trawa, mech i paprocie. Na własne oczy widzę to wszystko, o czem marzyłam zdaleka—z bardzo daleka. Kochani Staszewscy dali mi pokój na pięterku z oknami, wychodzącemi na łąkę, obrzeżoną lasem. Nie spuszczam rolet. Miałabym też się odgradzać od słońca! Ależ ja właśnie chcę, żeby mnie budziło. Czasem go nawet wyprzedzam. Podpatruję chwilę, kiedy wysyła zorzę z zapytaniem: czy już świat gotów na jego przyjęcie. A zorza sprawia szyki, toruje mu drogę.

Ot, już nadworna kapela rzuciła przygrywkę, już kwiaty na łące prostują się, zadzierają główki w oczekiwaniu radosnem. Idzie już, idzie - podają sobie szeptem z kielicha do kielicha. Czuby drzew nie śmią się ruszyć. Już za chwilę zacznie się wielki przegląd boru. Najmniejszy listek nie ujdzie baczności. Już słońce otworzyło powiekę. Już spojrzało... Zakrada się bokiem, nieśmiało. Znaczy ślad na pniach, ukośnie. Patrzy wyżej, coraz wyżej. Ot już położyło się na wierzchołkach. Już nie muska, nie igra, ale zabiera się do swego dzieła na dobre: wyzłaca, wypięknia, wabi. Ach! jak wabi. Szkoda każdej chwili. Wybiegam. Trzebaż zgarnąć najwięcej barw ziemi i nieba, pochwycić jaknajwięcej szeptów ciszy, wchłonąć całą radość, bijącą od ziół, traw, promieni, od śpiewu ptactwa i kos brzęku. Nacieszyć się letnim porankiem! Nacieszyć! Oto już — idą żeńcy. Niebo i ziemia — to dla nich przyjaciele, najbliżsi. Tak jak dla mnie. Lecz oni szczęśliwsi. Mogą się z tymi przyjaciółmi nie rozstawać.

Tętent kopyt. Oglądam się. Nadjeżdża „stary dziedzic". Piastowska postać! Łąki i las—to dla niej tło przyrodzone.

Dostrzegł mnie. Osadził konia. Zatoczył ręką dokoła.

— Co? Prawda? — rzekł z uśmiechem.

Odpowiedziałam mu oczyma:

— Tak śliczny jest świat Boży.

Zrozumieliśmy się. On odjechał do swojej roboty. Ja pobiegłam do lasu — na nabożeństwo... Co za szczęście módz je odprawiać pod drzew i nieba kopułą. Gdybyś tu był, wzięlibyśmy się za ręce, i szli w milczeniu. Bo cóż można sobie więcej powiedzieć nad to, co mówi do serca taka polska łąka w wieńcu lasów.

Przyjeżdżaj, Kaziku, żebyśmy mogli na to popatrzeć i posłuchać tego razem. A jest na co patrzeć, jest czego słuchać i wśród ludzi. Zacne to gniazdo. Prawdziwie — obywatelskie. Pan Staszewski pracuje nad założeniem włościańskiego kółka rolniczego. Hala z księdzem proboszczem zjednali już lud dla sprawy współdzielczości. Na jesieni ma powstać w Bratkowcach spożywczy sklep kooperacyjny. Ludwik po parę razy na tydzień ma wykłady dla włościan -- uczy ich gospodarować postępowo. Widzisz, że praca kipi. Aż miło. Wrócę do Warszawy z większą jeszcze ochotą do robienia tego, co trzeba.

Ale wpierw musisz tu przyjechać, odpocząć, pokrzepić się i widokiem natury i obcowaniem z takimi ludźmi. A jadąc ze stacji, rozglądaj się. Okolica śliczna. I taka swojska! Taka nasza! Więc do widzenia. W przyszłym tygodniu. Prawda?

Twoja Zosia.

9)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Saper pipellet! — zaklął ogniście artylerzysta — kiedy się o tem pomyśli, flaki się w człowieku wywracają. Toż my te harmatki nasze, kiedy już konie na dobre padać jęły, własnemi rękami z błota za szprychy wlekli! I nie żołnierze tylko, ale i oficerowie bez różnicy stopnia, co waćpannie słowem honoru ręczę, za koniska się wprzęgali, a tu te pantoflarze, hycle, gamonie, bez jednego wystrzału, żeby ich ogniste pioruny potłukły, w polu nieprzyjacielowi oddają. Kiedy mi podoficer, co się z kilku francuzami z ognia wyrwał, przyszedł o tem zaraportować, ogarnęła mię najpierw wściekłość... taka wściekłość, że myślałem—trzasnę, skończę, nie wytrzymam... Ale potem przyszła obojętność na wszystko... Niech tam djabli, niech się świat wali...

Rzecz się tak miała—opowiadał, zapalając się coraz bardziej.—Po bitwie pod Czasznikami, gdziem był ranny, oddałem komendę kapitanowi Koryznie. Sam w powózce, ile że mię gorączka tarmosiła, jechałem za taborem. Nagle dowiaduję się, że korpus nasz piąty połowę armat ma oddać francuzom. Moją baterję zabiera gwardja konna. Było to już jak mówiłem za Orszą...

— Mój Grabowski — rzecze ktoś, kładąc opowiadającemu rękę na ramieniu — mój Grabowski, czyż nie pojmujesz, że panią tę, która oto w strapieniu o brata we łzach tonie, losy twojej baterji nazbyt obchodzić nie mogą.

— Jakto — zaprotestował tamten. — Jakto, losy polskiej baterji!? nie obchodzą?!

Panna Krystyna uczuła przypływ krwi do twarzy. Zdało się, że wstępuje w nią jakaś moc nowa.

Tak jest obchodzą ją gorąco losy wszystkiego, co jest ze sprawą polską związane. Potrafi zapanować nad osobistem cierpieniem, wobec nieszczęść sprawy ogólnej.

Wyciągnęła do artylerzysty rękę.

— Panie oficerze, nie wiem kto jesteś, ale proszę mi wierzyć, że współczuję z panem głęboko.

Ten podniósł rękę do kaszkietu, salutując po wojskowemu.

— Jestem kapitan Grabowski.

Porwał podaną rękę i ucałował ją zamaszyście.

— Niech żyją polskie niewiasty!—krzyknął z entuzjazmem.

— Niech żyją! — huknęli chórem oficerowie.

Scena wywołała w obozie niesłychane podniecenie. Cisnęli się rycerze do panny Krystyny, przedstawiając się kolejno. Wymieniali nazwę pułków, w których służą i w krótkich, najkrótszych określeniach streszczali ich historję w obecnej wojnie.

— Biliśmy się pod Witebskiem, Smoleńskiem, Górą, Możajskiem, Woronowem, Tarutiną, Berezyną... Wraca nas razem czterdziestu jeźdźców — recytuje ułan, który się przedstawił jako podporucznik Grabowski.

Był tu jeszcze trzeci Grabowski, młody porucznik z kompanji woltyżerskiej. Panna Krystyna zadrżała. Utkwiła wzrok badawczy w wychudłą postać młodzieńca, który się ku niej zbliżył z nieśmiałym ukłonem.

— Boże! — krzyknęła nagle. — To... to... pan!

Młodzieniec przypadł do rąk jej i okrywał pocałunkami...

Panna Krystyna odnalazła tu jednego z braci i narzeczonego — narzeczonego, którego wyprawiła na boje, ażeby bohaterstwem zasłużył na jej miłość.

Tak to rozumiała w uniesieniu patrjotycznem. A potem drżała o niego przez długi szereg dni i nocy, czy wątła, delikatna organizacja artysty przetrwa trudy i niebezpieczeństwa wojny. Oderwała go od klawikordu, przy którym miękka dusza jego rozlewała się w rzewnych pieśniach, kazała mu słuchać twardej muzyki armat.

Wrócił. Wrócił wśród nielicznych, którzy przetrwali okropności tej wyprawy.

Serce jej wypełniła dziwna błogość. Spłynęło na nią uczucie ulgi, ale w tej chwili uświadomiła sobie, że w jaźni swej stawia sprawę osobistą przed ogólną, że wybuch radości odbija się zgrzytem wobec klęski powszechnej. Jakiś głos wewnętrzny nawoływał ją do dania sił swoich i zdrowia tej sprawie. Zajmie się pielęgnowaniem chorego brata i tych wszystkich cierpiących, okaleczałych, którzy jej są, jak bracia rodzeni. Zabierze Wacława do domu, a z nim tych innych, dla których marsz dalszy jest ponad siły.

(d. c. n.)

HANS LAND

Odwieczne pytanie.

(Z niemieckiego).

(Dokończenie)

Dusza jego szczęście to odczuwała w całej pełni; w nieśmiałych jego oczach zjawiały się błyski, dotychczas im obce, a wokoło ust igrał uśmiech, który, jak odblask utajonego kochania, twarz jego całą rozjaśniał.

Nauczył się kochać przyrodę i obraz jej wciąż mu towarzyszył. Przebudził się z martwoty, i poznał, że praca i oszczędność nie stanowią jeszcze najwyższej radości życia.

Teraz pragnął zakosztować i innych rozkoszy świata. Dramat i opera rozczarowały go. Nie posiadał wyobraźni dostatecznie rozwiniętej, by objąć potęgę sztuki. Czytanie książek nużyło go, koncertów nie rozumiał. Wszystko to żadnego nie wywierało na nim wrażenia. Tylko piękno przyrody było dla niego nieprzerwanem źródłem uciech świątecznych; to też za każdym z tych uciech powrotem do pracy powszedniej, czuł się pokrzepionym na duszy i ciele.

Wycieczki te rozbudziły w nim głód powietrza. Nabył poczucie czystości powietrza, ludziom ubogim, — niestety! — tak mało znane. Przebywanie w pokojach niedostatecznie przewietrzanych sprawiało mu przykrość; przyzwyczaił się latem i zimą sypiać przy oknie otwartem: żyjąc i pracując w mieście, tęsknił za czystem powietrzem szerokich przestworów, za tym najcenniejszym darem przyrody.

Geller pozostał samotnikiem. Nie zbliżał się do nikogo, i nikt do niego się nie zbliżał. Pracował, oszczędzał, w niedzielę wyjeżdżał za miasto, i był szczęśliwy, że pół dnia mógł przemarzyć w lesie, nad brzegiem cichego jeziora. A coraz śmielsze stawały się jego marzenia, coraz piękniejsze. Z początku cud-bajka, poczęły powoli przybierać pozory rzeczywistości: osiemnaście lat pracując w rejestraturze, pobierał obecnie tysiąc osiemset marek pensji. Dołączając gratyfikację, odkładał rok rocznie tysiąc marek w listach zastawnych. Kto pracował w banku przez lat dwadzieścia pięć, miał prawo do emerytury, stanowiącej połowę pensji. Geller wyjął z kieszeni ołówek i papier i spoczywając na miękkiem podłożu z mchu leśnego, obliczał, że po upływie dalszych siedmiu lat, gdy wyjdzie do emerytury, oszczędności jego wystarczą na kupno małej zagrody. Chatka z ogródkiem u skraju lasu lub nad brzegiem jeziora, gdzie z dochodu i pensji możnaby żyć spokojnie, bez troski o jutro! Ogromna radość spłynęła mu do serca.

Geller nie był wierzący i nigdy do kościoła nie chodził. Teraz jednak dłonie jego bezwiednie do gorącej złożyły się modlitwy, i dusza tonęła w niemem dziękczynieniu. Precz z miasta do przyrody Twej zieleni! Zdala od ludzi! Sam jeden w cichem, własnem ustroniu, bez pracy w piwnicy i powietrza piwnicznego, — świeżem lasu oddychać powietrzem — swobodny i od nikogo niezależny, — wielki Boże!.. Co za szczęście!.,

I upływały lata. Powoli, powoli Franciszek Geller coraz bardziej się przybliżał do celu wymarzonego. Jakkolwiek liczył lat zaledwie czterdzieści, ciemne włosy jego były przypruszone siwizną; broda zaś była prawie biała. Jeszcze dwa lata, — rok jeden jeszcze. W skarbcu, który wynajął, warstwy listów zastawnych piętrzyły się coraz wyżej.

Podczas jednej ze swych wycieczek zamiejskich, Geller odkrywszy maleńką posiadłość, odpowiadającą tajemnym jego pragnieniom, rozpoczął pertraktacje co do jej nabycia. Wszystko się składało doskonale.

Zabezpieczył sobie pierwszeństwo do kupna aż do 1-go kwietnia przyszłego roku. Był to właśnie koniec dwudziestopięcioletniej służby Gellera. Sześć miesięcy oddzielało go od tej chwili. Co niedziela wyjeżdżał i okrążał przyszłą swoją własność. Mały domek i maleńki z drzewami owocowemi ogród, który opiekuńczo rozpościerał się naokoło murów!

Dziwne i wzburzone życie duchowe, rozbudzone przez gorące umiłowanie przyrody i tęsknotę ku niej, pozbawiło Gellera jednak spokoju, który go cechował dotychczas. Stracił równowagę, z którą dawniej spełniał nużące obowiązki swego życia.

Pracował teraz z pewnym niepokojem. Dnie wydawały mu się niezmiernie długie, a tydzień, żółwim krokiem wlokący się do niedzieli—oswobodzicielki, zdawało się, że zupełnie końca nie miał.

Geller sypiał też coraz gorzej. Sny miewał przykre, a rozbudzony, leżał nieraz godzinami całemi, zasnąć nie mogąc ponownie. Serce jego, bezbrzeżną przepełnione tęsknotą, uderzało rytmem nierównym i niespokojnem. Ogarnięty niepojętą trwogą, wyskakiwał z łóżka i po ciemnym, ciasnym pokoju męczące rozpoczynał wędrówki.

Stracił apetyt, twarz jego żółtawą pokryła się bladością, a w oczach głęboko zapadłych, wielkie widniało znużenie. W członkach czuł ciężar ogromny; przebycie schodów, wiodących do jego mieszkania, trwało kwadrans prawie. Stanąwszy u celu, miewał napady duszącego niemal bicia serca. Jakkolwiek przerażony, postanowił nie zwracać uwagi na te objawy. „To przejdzie“, pomyślał.

Pierwszego jednak, gdy się zgłosił po odbiór pensji, kasjer, spojrzawszy na niego, spytał —

— Jak pan wygląda? czyś pan chory?

Geller się przeląkł. Znać już po nim, że chory. A zatem to rzecz poważna. Poszedł do lekarza instytucji, który go zbadał; pośpiesznie i obojętnie — jak zwykle. Przyłożywszy przez chwilę słuchawkę, rzekł, wzruszając ramionami:

— Szmery w okolicy serca. Trzeba się oszczędzać. Konieczny spokój, świeże powietrze, mało ruchu. Nie męczyć się —

Wizyta skończona.

Szmery w okolicy serca. Czy to niebezpieczne?.. Ale przecież lekarz zalecił środki mogące uzdrowić; spokój, odpoczynek, świeże powietrze. Za sześć miesięcy!..

Nagle szalona ogarnęła go trwoga. Czy na to wędrował przez szarość i pustkę długiego, męczącego życia, by teraz... gdy się zbliżał do celu... nie, przenigdy, — to niemożliwe. Tak okrutnym los być nie mógł.

Noc po badaniu lekarskiem Geller spędził bezsennie. Miewał kilkakrotne napady duszności, a trwoga powodowała wzmożenie się cierpienia. Nazajutrz z rana udał się do głównego dyrektora banku. Objaśnił mu wszystko szczegółowo i ze spokojem, który go samego zadziwił.

Bank okazał się wspaniałomyślny. Darowano wiernemu pracownikowi czas sześciomiesięczny, brakujący do liczby lat, przepisanej statuami. Przyznano mu pełną emeryturę i wszystkie do niej przynależne prawa.

O ile mógł tylko najprędzej Geller postarał się o załatwienie wszelkich z kupnem wyśnionego raju połączonych formalności, i z pierwszym cieplejszym nieco podmuchem wiosny wprowadził się ze wszystkiem co posiadał, jako kapitalista do cichej, starej chaty w Gruenhaide.

Kos na dachu ostrym śpiewał głosem, a z poblizkiego lasku odzywał się już bardziej melodyjny śpiew rozmarzonego drozda z wierzchołka wysokiego, liśćmi jeszcze niepokrytego drzewa.

Geller znużony siedział na starej ławce przed domkiem, a teraz korzystając z ostatnich promieni słonecznych, zawlókł się do lasku. Spocząwszy na kamieniu, oparł znużone plecy o pień sosny, i spojrzeniem pełnem niewymownej błogości objął umiłowane swe, tchnące pokojem schronienie.

Uśmiechnął się. Strumień szczęścia przepłynął przez jego duszę. Zdawało mu się jakoby wrócił do domu po długiej, męczącej, podróży na drodze pełnej kurzu. Jak dziwne było jego życie! Tyle lat los go trzymał na uwięzi w ciemnawej piwnicy, a później wlał mu w duszę tę żywą tęsknotę, której on, Geller, zawdzięczał moc i siłę, że zdołał wyrzec się wszelkich pragnień i do jednego tylko dążyć celu: do wyzwolenia z pustki bezdusznego miasta i do zamieszkania tutaj, wśród zieleni, w tym raju.

Pękły jego kajdany. On,— w kornem wychowany posłuszeństwie, całe życie innym służący ludziom,— on siedział dzisiaj,— jako swobodny pan swego czasu i swej pracy,— na własnym kawałku ziemi.

On,— jakby rzecz jakaś wyrzucony z rozbitego okrętu na brzeg oceanu wielkomiejskiego,— żebrak, ojca nie znający ni matki; człowiek dwukrotnie napiętnowany,— przez urodzenie nieślubne i kalectwo,— on był dzisiaj w posiadaniu domu własnego, sadu, zagrody,— drzewa były jego własnością i krzewy — cząstka tej ziemi, na której jako żebrak się urodził.

A gdy jutro z rana oczy otworzy do słońca, — to nikomu służyć nie będzie, tylko własnym swoim upodobaniom. Czas rozpościerał się przed nim, jako własność jego, niczem nieograniczona.

I Geller myślał z radością, że już niczyim nie był sługą.

Po za nim leżało wielkie, bezbarwne, zimne, wrogie miasto, ze swym hałasem i kurzem, niewolniczą pańszczyzną i służbą przymuszoną — zapadło się gdzieś w przepaścistą głębię, wraz z całą szarzyzną, pustką i jednostajnością długich lat służby.

A teraz zbliża się wiosna, — i z wiosną przyjdzie słońce, przypłyną strumienie ciepła i światła ożywczego,— kwiaty,— owoce i wonie przedziwne, — a on, — niewolnik oswobodzony, ozdrowieje w blasku słonecznym — odpoczywając odpoczynkiem dobrze zasłużonym — na łąkach, nad rzeką, — w małym swoim, ukochanym, pełnym kwiecia ogrodzie.

Okrzyk szczęścia wyrwał mu się z piersi. Lecz nagle, ruchem błyskawicznie szybkim, Geller rękę podniósł do serca...

Wiewiórka siedząca na gałęzi, przelękła się i skokami spiralnymi uciekła na wierzchołek drzewa, gdy cichy, blady człowiek z głośnym okrzykiem na wilgotną padł murawę.

I pozostał tam martwy.

Szarzejącym zmierzchem zasnuwało się niebo wiosenne, a błękitne, dziecięce oczy Gellera utkwione były weń z wyrazem zdziwienia tak bezgranicznego, że ździwienie to pytaniem się wydawało.

A przez martwotę śmierci pytanie to potężniało, przejmujące się stawało i rozpaczy pełne. Była to odwieczna skarga Mojżesza nad losem ludzkim, nad owym losem, który szczęście i cel świetlany ukazując tylko w oddali, u wrót raju stawia śmierć w postaci anioła z mieczem płomiennym. I anioł ten, stojąc na straży, jednym stanowczym ruchem wejścia do raju nam wzbrania...

MARJA SIK.

TRZY RÓŻE PONSOWE.

(Z szwedzkiego).

(Dokończenie).

Zerwała różę i przypięła ją do piersi.

— Dobrze, — rzekła, — ten kto mnie kocha... zwycięży, walczyć bowiem będzie o prawa serca, a pan — pan?

— Bić się będę o życie! omal, że nie wybuchnął, powstrzymał się jednakże w samą porę.

Panna Emerencja milczała jakąś chwilę, poczem rzekła:

— Nie, nie zdradzę jego imienia, nie chce mi to przejść przez usta, ale znam sposób... Jutro na turnieju będę nosiła jego barwy rycerskie. Zwróć pan uwagę na mój strój, a znajdziesz wyjaśnienie wszystkiego. Pomów z nim, dowiedz się tego o co cię proszę — przyjdź mi powiedzieć i niech się dzieje wola Boża.

Wola Boża! Rycerzu Fürstenbergu, miej się na baczności, czeka cię bój śmiertelny!

Wskoczył na konia i popędził w stronę domu.

Będzie nosiła jego barwy — barwy Fürstenbergów: złotą tarczę na niebieskiem polu. Boże wielki, ona już teraz je wdziała. Niebieską ma suknię, złotą siatkę we włosach i tkaninę takąż na piersiach.

Tak walka będzie zacięta!

A coś mu szeptało:

— Czy znasz uroczą córę hrabiego Kastabell, rycerzu?

I on odpowiedział w myśli:

— Czy ją znam. Myśliwy winien znać dzicz, na którą poluje.

— Czy ją kochasz?

— Naturalnie, tak jak zwykł kochać każdy silny mężczyzna.

— Ale ona ma wszak tak czyste i wzniosłe pojęcia o miłości.

— To mi obojętne, byleby była moją. Jakże sądzisz towarzyszu, czyli dostatecznie piękna jest dla mnie?

— Zbyt piękna i dlatego czeka cię śmierć.

Nie, on nie może żyć bez niej, nie może się jej wyrzec, nie, chce żyć z kobietą, z którą nie będzie miał nic wspólnego, która cały czas spędzać będzie w swojem skrzydle zamkowem, urodzi mu synów, a on nawet nie pozna barwy jej włosów — nie, on chce mieć jedyną, ową kobietę — dziecię — to swoje anielskie jestestwo!

Chociaż nie rzekła doń do tej pory, ani jednego miłego słówka, nie mniej nikt, póki on żyw nie tknie się nawet rąbka jej niebieskiej sukienki. Kochać ją będzie sam jedynie i walczyć o miłość swoją, o prawa serca. Tak rycerzu Fürstenbergu, bój będzie wrzał na śmierć i życie!

. . . .

Zielona kotlina w ciągu nocy okryła się jakgdyby barwną roślinnością. W słońcu odbijają się kolory tęczowe, niby kwiaty na olbrzymim klombie.

Głośne śmiechy, wesołe rozmowy oraz tententent koński przerywa ciszę doliny, a cały ten zamęt dźwięków unosi się do góry ku milczącym i potężnym skałom.

Ze wszystkich okolicznych zamków zeszły się tu i zjechały tłumy ludu. Rycerze w błyszczących zbrojach, z rozwianymi na czubkach pióropuszami i damy w strojach świątecznych.

Wszyscy tłoczą się ku ogrodzonej przestrzeni, gdzie odbywać się będzie turniej.

Słudzy na trawnikach rozściełają obrusy, rozstawiając na nich talerze, kubki, nakrycia, dania — słowem — śniadanie na otwartem powietrzu.

Chłopi w świątecznych strojach skupili się nieco dalej i ciekawie podziwiają wystrojonych chlebodawców.

Gdzieniegdzie rozłożyli się wędrowni muzykanci, a maleńkie tancerki tańczą społem w takt muzyki. Handlarze zachwalają wstążki i świecidełka. Wesoły nastrój panuje dokoła.

Nagle rozlega się odgłos rogu. Dziesięciu najprzedniejszych rycerzy, biorących udział w turnieju, zwolna przesuwa się na koniach.

Przodem postępują trębacze w różnokolorowych kurtkach aksamitnych, dmąc w długie rogi miedziane. Za nimi kolejno jadą rycerze wierzchem. Obok każdego — pachołek z tarczą i sztandarem pana.

Oto Annaberg, Goldrajner, Fürstenberg, Lichtenberg.

Głośne okrzyki rozlegają się na widok tarczy Fürstenberga, na polu niebieskiem, ale i ponsowe róże Annaberga wywołują radość nie mniejszą.

Rycerz Adalbert obejmuje okiem badawczem widzów, nie znajduje tam jednak, ani panny Emerencji, ani jej ojca. Gdzie jest ona? Czyżby ją przeraził swoją groźbą i nie chce mu wyjawić imienia owego rycerza.

Dziesięciu jeźdźców staje rzędem. Rozlega się przeciągły dźwięk trąby i dziesięć koni mknie jak strzała.

Należy trzy razy okrążyć dolinę. Po pierwszym razie na czele widnieją rycerze: Annaberg i Fürstenberg.

Przy trzecim biegu Adalbert spostrzega w tłumie sino-biały pióropusz hrabiego Urbana. A ona gdzie? W tej chwili wyprzedza go Fürstenberg.

„Nie, rycerzu, nie staniesz pierwszy u celu. Ona należy do mnie! I Roland zlewa się w jedno ze swoim panem. Pędzi niby jaskółka na fali powietrznej, niby strzała wypuszczona z łuku.

W oczach ćmi się, w uszach dzwoni.

Rycerz Adalbert pierwszy stanął u mety.

Herold zwiastuje imię zwycięzcy i witają go tryumfalne okrzyki.

On nic nie słyszy i szuka kogoś w tłumie.

Nagle tuż obok rozbrzmiewają słowa:

— Przepiękna córa hrabiego Kastabell wręczy zwycięzcy puhar.

Na trybunie robi się ruch, wszyscy prawie zrywają się ze swoich miejsc, szeregi się rozstępują.

Ona idzie naprzód, lśniąca jak słońce.

Suknię ma białą — trzy ponsowe róże widnieją: jedna we włosach, druga u piersi, trzecia u pasa.

Zwycięzca otrzymał puhar. Widzowie zwolna rozchodzą się po dolinie.

Rycerz Adalbert toruje sobie drogę w tłumie.

Nie widzi wyciągniętych ku sobie dłoni, niby we śnie dąży ku temu miejscu, gdzie powiewa pióropusz hrabiego Urbana, a tuż obok widnieją trzy róże ponsowe.

Stary Kastabell z zachwytem wita swego przyszłego zięcia, winszuje mu i oddala się niebawem, aby się dowiedzieć czy spełniono jego polecenia i przygotowano śniadanie.

Rycerz Adalbert skłania się przed panną Emerencją.

— Szanowna pani! — mówi, gdy serce jego bije jak młot, a wyrazy wybiegają z ust z trudnością, — udawałem się do twego rycerza i powiedziałem mu to wszystko, o co mnie pani prosiła.

Stoi przed nim ze spuszczonemi oczyma i zapytuje cicho:

— Czyś go pan nie zabił?

— Nie zabiłem go, — odpowiada, — lecz gotów jest on umrzeć, jeżeli pani nie porozumie się z nim sam na sam. Błaga, abyś podeszła ku zaroślom w pobliżu.

— Kiedy? — pyta dziewczyna.

— Jeżeli chcesz go zastać przy życiu, należy się spieszyć.

— W takim razie świętym moim obowiązkiem udać się tam natychmiast, lecz nie znam drogi, niech mnie więc pan poprowadzi.

Rycerz Adalbert wyciąga rękę, ona podaje mu swoją. Twarz jej pokrywa się bladością, usta drżą lekko.

Zatrzymali się w cieniu pośród gęstej zieleni. Tu tak chłodno, a szmer tłumu zdaleka tylko do nich dochodzi.

Błyszczący szczęściem wzrok jego wpija się w jej opuszczone powieki. Nabiera odwagi, a na jej licach wykwitają róże — wraz z różą ust, jest ich trzy.

Tuli główkę jej do piersi.

— Trzy ponsowe róże — mówi obcałowując jej twarz i usta — wyrosły na zeschłej, cierniowej gałązce i kwitną teraz dla mnie, dla mnie.

Ona odpina trzy przypięte róże i wręcza mu je razem.

— Trzy róże ponsowe — powtarza, — rozwinęły się na zeschłej gałązce w ciągu trzech dni i kwitną tylko dla mnie.

Teraz już pan wie, kto to ów jedyny? — szepce. — Czy powiedziałeś mu, jak jest kochany? Nie zapomniałeś czego, przypadkiem?

— Zapomniałem, zapomniałem już wszystko, nawet, że żyję. — Klęka przed nią i okrywa ręce jej pocałunkami.

— Powtórz mi to raz jeszcze, — błaga, — powtórz, nie mogę wierzyć temu wszystkiemu, to chyba cud?

— Tak, drogi mój i mnie się tak wydaje. Wiedz, że dla ciebie tylko codzień na nowo rozkwitać będą róże uczuć moich, choć nigdy ci już nie wyznam, jak dalece cię kocham. Nie mówi się tego mężczyznom!

— Tylko jednemu, — poprawia rycerz. — A teraz objaśnij mnie, czemu mnie tak dręczyłaś, wszak mnie kochałaś.

— A więc właśnie dlatego. Miłować człowieka i widzieć, że nie zauważył cię nawet. Raczej umrzeć!

On śmieje się do rozpuku, bierze ją na ręce i podnosi do góry.

— Gołąbko ty moja, szczęście, życie moje. Alboż cię nie kochałem? Wydaję mi się, że od samego urodzenia byłaś mi drogą!

Powrócili w dolinę. Hrabia Urban stał ze ściągniętemi brwiami. Na wieść, że można wyprawić zaręczyny twarz jego się rozpromieniła.

— Jakie bo właściwie znaczenie miała ta komedja? — zapytał córki. — Trzeba było się nagiąć do woli ojca, co? Mówiłem ci rycerzu, że należy być śmielszym. Wszystkie kobiety są jednakowe!

. . . .

Dzień jest prześliczny, letni, niebo lazurowe. Słońce świeci tak jasno, że napełnia radością dusze ludzi.

Droga prowadząca z zamku Kastabell do kościoła, cała usiana jest płatkami róż, barwy ponsowej. Płatki owe chwilami wiatr roznosi, a wówczas gorzeją one w słońcu kolorem krwi serdecznej.

Dzwony biją a nastrój ich również jest wesoły jak i cała przyroda.

Wielkie jest dzisiaj święto — to czuje się w powietrzu!

Wesołe dźwięki roznoszą się po dolinie, sięgają gór, zaglądają w gęstwinę leśną — szepcą coś niecoś drzewom i gubią się w poszumach.

Są to echa dzwonów ślubnych.

Przełożyła *Adela Z.*

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

7)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

Przeklinał zdradliwość maści i skarżył się w duchu na okrucieństwo swych przyjaciół, wyrzucając sobie gorzko brak rozwagi, że nie wypróbował owego środka na innej osobie, zanim go kazał Carrizalesowi zastosować. Rozmyślania te przerwało mu wejście ochmistrzyni, która wnet jęła go zapewniać, że starzec nadal śpi, jak zabity. Uspokoił się więc nasz junak i wysłuchał uważnie wynurzeń miłosnych, które Marialonso czynić przed nim poczęła, a rozważywszy w duchu jej słowa i swoje złe zamiary, postanowił uczynić z ochmistrzyni przynętę, aby łacniej złowić się dała jej pani.

Gdy tak obydwoje zajęci byli rozmową, inne pokojówki, które pochowały się były w różnych częściach domu, poczęły wychodzić ze swych kryjówek, aby przekonać się, czy prawdą to było, że Carrizales się obudził; widząc, że dom

cały był pogrążony w ciszy, rychło wszystkie zebrały się ponownie w sali, gdzie pozostawiły swą panią i dowiedziały się od niej, że stary śpi bez zmiany. Gdy zapytały o muzykanta i ochmistrzynię, wskazała im Leonora miejsce, gdzie się znajdowali i wszystkie, wśród ciszy niczem niezmąconej, poszły nasłuchiwać pod drzwiami o czem oboje gawędzili. Nie zbrakło wśród nich i murzynki, Guiomary; murzyn tylko był nieobecny, gdyż ledwo tylko usłyszał, że pan jego się obudził, oplótł uściskiem gitarę i skrył się wraz z nią na strychu, nad gankiem. Teraz zaś, leżąc na swej nędznej pościeli, przykryty kołdrą, pocił się i drżał na całem ciele. Mimo wszystko jednak, palcami przebierał nieustannie struny gitary, tak wielkie było (niechaj go szatan ma w swej opiece) zamiłowanie jego do muzyki.

Dziewczęta usłyszały poprzez zamknięte drzwi, jakie wyznania miłosne czyniła stara ochmistrzyni i wnet posypały się z ich ust tysiączne urągania; nie omieszkała żadna, nazywając ją starą, dodać odpowiedni epitet i przymiotnik, jako to: czarownica brodata, jędza zalotna i inne jeszcze, które, dobrym obyczajom gwoli, pominiemy tu milczeniem. Najwięcej jednak uśmiałby się przygodny świadek z urągań murzynki Guiomary, która, ile że z Portugalji była rodem i niezbyt biegła w hiszpańskiem narzeczu, odgrażała się jej z niebywałym wdziękiem.

W samej rzeczy, ostateczny wynik rozmowy między Loaysą a ochmistrzynią był taki, że on zobowiązał się dogodzić jej pragnieniom, pod warunkiem, że uprzednio wyda mu ona swą panią, aby mógł jej wyznać swą miłość. Ciężko było ochmistrzyni zgodzić się na warunki, które jej muzykant postawił; lecz, aby zadowolić ono pragnienie, które owładnęło jej duszą, wdzierając w ciało i kości, aż do szpiku, nie zawahałaby się obiecać mu, że spełni najniemożliwsze bezeceństwa. Opuściła go tedy i wyszła, aby rozmówić się ze swą panią; a gdy ujrzała, że u wejścia do pokoju zebrane były wszystkie pokojówki, poleciła im, aby udały się do swych komnat, przekładając, że następnej nocy będą mogły nacieszyć się muzykantem dowoli, gdyż teraz popłoch miniony źle musiał wpłynąć na ich radość.

Zrozumiały wszystkie, że stara chce pozostać sama; nie mogły jednak odmówić jej posłuszeństwa, gdyż ona jedna wszystkim rozkazywała. Rozpierzchły się pokojówki, a ochmistrzyni wnet pobiegła do sali i jęła przekładać Leonorze, aby zgodziła się pofolgować pragnieniom Loaysy, w przemowie tak długiej i tak logicznie ułożonej, że zdawać się mogło, iż od długiego czasu już się jej była wyuczyła.

W gorących słowach poczęła wychwalać jego urodę, odwagę, talent i liczne wdzięki, jakimi od natury był obdarzony, odmalowała jej w ponętnych barwach rozkosze, których zaznać by mogła w objęciach młodego kochanka i powiedziała, o ile słodsze będą jego pocałunki, niż pieszczoty starego męża, obiecując jej, że najściślejszą zachowa tajemnicę i postara się o to, aby przy boku kochanka jaknajdłużej zażywać mogła wczasów. Takich jej wreszcie naopowiadała rzeczy, które snadź sam szatan do ust jej włożył, o tak gorącem brzmieniu i tak niechybnym skutku, a tak pełne retorycznych zwrotów, że nietylko miękkie serce naiwnej i niedomyślnej Leonory ugiąć były zdolne, ale nawet najtwardsze skruszyłyby marmury.

O, ochmistrzynie! które na świat przychodzicie i zużywacie swe siły ku zatruciu tysiącznych pięknych zamierzeń! O wielkie a schludne czepce, umyślnie dobrane, aby przejmować swą powagą sale i łożnice pań szlachetnego rodu, na jakże niegodne cele obracacie oto zrosłe niemal z wami zalety!

Jednem słowem, tyle ochmistrzyni chwaliła i tyle przekładała, że Leonora broń złożyła, że Leonora zwieść się dała, że Leonora poszła na zatracenie i padły w gruzy wszystkie zabiegliwości przezornego Carrizalesa, który spoczywał pogrążony we śnie śmierci własnego honoru.

Ujęła Marialonso swą panią za rękę i przemocą niemal, całą łzami zalaną, powiodła ją do pokoju, gdzie czekał ich Loaysa, poczem z fałszywym śmiechem jakieś demoniczne rzuciwszy im błogosławieństwo, zatrzasnęła drzwi za sobą, pozostawiając ich samych zamkniętych w pokoju. Leonora znienacka znalazłszy się, na łożu poczęła drzemać, lub raczej oczekiwać biernie pieszczot narzuconego jej kochanka. Ale wkrótce zmogło ją zmęczenie po nocy bezsennie spędzonej i usnęła na dobre.

Moglibyśmy w owej chwili zapytać Carrizalesa (jeśli wolno byłoby nam zapomnieć, że w śnie głębokim był pogrążony) jaki odniosły skutek zaprowadzone przezeń środki ostrożności, jego obawy, jego wybiegi i obliczenia, wysokie mury jego domu, wzbronienie wstępu cieniowi nawet, któryby męskie nosił imię, ciasna galerja kryta, grube ściany, okna nie przepuszczające światła, mocne zamki, wielki posag jakim obdarzył Leonorę, podarki, które jej czynił, dobrobyt, którym otaczał pokojówki i niewolnice, to wreszcie, że nie zapominał o żadnej drobnostce, którejby potrzebować lub zapragnąć mogły? Powiedziano już jednak, że próżnym trudem byłoby pytać go o to wszystko, gdyż spał mocniej niżby tego okoliczności wymagały. A gdyby nawet pytanie usłyszał i zechciał odrzec na nie, nie mógłby dać lepszej odpowiedzi, jak wzruszyć ramionami, brwi zmarszczyć i rzec: „Wszystko to, mojem zdaniem, od podstaw padło w gruzy przez chytrość młodego zawadjaki i rozpustnika, przez złośliwość przewrotnej ochmistrzyni i łatwowierność niedoświadczonej małżonki, którą ze wszech stron nagabywano i podjudzano. Oby nas wszystkich Bóg strzegł od podobnych wrogów, gdyż niema przeciwko nim ani tarczy ochronnej, którą osłonićbyśmy się mogli, ani miecza, któryby drogę im zagrodził“.

(d. c. n.)